



Ewa Tomaszewska

część II z III

Sygnatura notacji: **N0560**

Data urodzenia: **14.04.1947 r.**

Data nagrania: **13.02.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 55 min, część III: 53 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ewa Tomaszewska: Załatwiałam jakieś sprawy służbowe na Buczka w CEZAS-ie i szłam stamtąd w kierunku Śródmieścia, chcąc kupić jakiegokolwiek pieczywo. Po prostu w żadnym sklepie nie było chleba. Nie było chleba, bułek, żadnego pieczywa. Dopiero po przebyciu połowy drogi do Centrum udało mi się kupić trzy rożki na lody. To było jedyne, co mi się udało zdobyć wtedy. I jak doszłam do ronda, to już tam zostałam, po prostu. Wokół ronda stał tłum ludzi przed tymi pojazdami i zgromadzonymi ludźmi stało ZOMO. Szpalery ZOMO uniemożliwiały zjazd z ronda w kierunku Wisły. To z czasem zostało... Z czasem trzeba się było jakoś zorganizować na tym rondzie. Ludzie zaczęli się gromadzić. Trzeba było zorganizować łączność między Zarządkiem Regionu a tym centrum w ramach organizowania tej łączności. Ja byłam w hotelu Polonia przy telefonie i kontaktowaliśmy się przez walkie-talkie z Basią Malak, która była na rondzie na w Centrum. Tam po prostu były dyżury. Zmienialiśmy się, żeby przekazywać informacje z Zarządu Regionu na rondo i odwrotnie, o tym, co się działo. To, co się zdarzyło następnego dnia miało taki symboliczny wymiar, bo koledzy z Solidarności, z hotelu Forum, wtedy kierowała tam związkiem Kasia ... I w pewnym momencie wynieśli taki duży kocioł barszczu i kosze z chlebem. I ten chleb był podawany ludziom zgromadzonym wokół ronda tak, że każdy odrywał kawałek i podawał następnym. To było niesłychanie wzruszające i po prostu miało taki wręcz sakralny charakter. Poza tym zorganizowana została platforma, na której odbywały się... przeprowadzano informowanie ludzi z nagłośnieniem, przeprowadzano informowanie ludzi o tym, co się dzieje, jak wygląda sytuacja, o kolejnych komunikatach, przekazywano informacje też z Gdańska i organizowane były występy, między innymi Jan Pietrzak właśnie wtedy, w trakcie jedzenia tego barszczu, miał występ, a jego synek, kilkuletni wówczas siedział na brzegu tej platformy i majtał nogami i jadł ten barszcz. W każdym razie to taki obraz mi został w pamięci. Wielu występowało artystów, którzy też wspierali

działania związku, także pojawiali się tam w ten sposób. Jakoś łatwiej było przetrwać ten cały okres trwających negocjacji, które miały doprowadzić do jakiegoś rozładowania tej sytuacji. I wreszcie było... po prostu związek podjął decyzję taką, że przejeżdżamy na wprost i zostawiamy ich z problemem braku żywności. To jednak wynikało z działania władz państwowych, to co się wówczas działo. Faktem jest, że przy takich zwykłych czynnościach jak przygotowywanie kanapek dla tych, którzy przez cały czas w tych samochodach sterczeli, czy maszynach budowlanych, które jechały przez... Miały jechać przez Warszawę, a zatrzymały się i ugrzęzły na rondzie, po prostu zawierało się znajomości, przyjaźnie. Koleżanka przyjechała z Wrocławia i właśnie w drodze do swojej siostry, którą miała odwiedzić, utknęła na rondzie i przez całą noc robiła kanapki. Z tego okresu się znałyśmy, a później przyjeżdżała do mnie do Gołdapi, między innymi do mnie też przywoząc jakieś ciasteczka owsiane czy coś, co dało się wówczas jakoś wykonać. Także tak to wyglądało. I byłam także w „czwórce”, czyli pokoju numer 4, w którym spotykała się grupa osób wspierających manifestacje różne, wspierających akcje protestacyjne. Właśnie w ramach Regionu tą grupę prowadził Marek Nowicki, również fizyk. Kilka osób innych znanych dzisiaj wielu osobom, Adaś Borowski i parę innych osób jeszcze. Współpracowaliśmy właśnie przy organizacji, przy takim technicznym wspieraniu akcji protestacyjnych. Jeśli w jakimś zakładzie coś się takiego działo, to można było im podpowiedzieć pewne metody albo zapewnić jakiś sprzęt. I to była też ta grupa, do której dotarła informacja od postów Katolickich, pomiędzy pierwszą a drugą turą Zjazdu Krajowego Solidarności, o tym, jakich to szczególnych uprawnień domagał się generał Jaruzelski. I że właśnie nie da się wprowadzić stanu wyjątkowego, można wprowadzić stan wojenny. W listopadzie, już kiedy było to spotkanie. Komisji Krajowej w Radomiu, takie burzliwe, to już było wiadomo, że trzeba się przygotowywać na ewentualny właśnie stan wojenny. Z jednej strony ze względu na normalny tok prac związku planowany był wiec 17 grudnia na Placu Zwycięstwa. Trzeba się było przygotować do przeprowadzenia tego wiecu, a jednocześnie wiedzieliśmy, że może w ogóle do niego nie dojść. Właśnie dlatego, że istnieją obawy, że po prostu zostanie wprowadzony stan wojenny. Pamiętam, że wtedy koledzy zorganizowali generator, żeby wprowadzić go do Zarządu Regionu, żeby po prostu w wypadku gdyby nam odcięli prąd, żeby można było jakoś funkcjonować. Zbierane były środki opatrunkowe. No ale liczyliśmy na to, że jednak może nie zdecydują się wprowadzić stanu wojennego w trakcie posiedzenia Sejmu, bo to było w trakcie posiedzenia Sejmu. Nie mógł rząd takiej decyzji podjąć bez zgody Sejmu. No ale jednak się zdecydował i podjął wtedy. A tuż przedtem jako taki próbny balon był przecież atak na WOSP. Na wniosek pani Hanny Grabińskiej, która miała kontakty z Polonią w Londynie i mogła zorganizować pomoc jakąś wtedy, kiedy brakowało żywności, brakowało wszystkiego... To było jeszcze latem, poszliśmy do Zbyszka Bujaka powiedzieć, że po prostu jest taka sytuacja, że trzeba zorganizować pomoc dla ludzi, pomoc humanitarną. I on na to „No ale jak związek ma coś takiego zrobić?”. No to po prostu pani Hania zaproponowała właśnie pomoc przez ten magazyn, organizowany dzięki wspomaganie księdza Jerzego Popiełuszki. Najpierw przy ulicy Bema, w pobliżu kościoła Świętego Stanisława i później w innych miejscach. To już po rozpoczęciu stanu wojennego. Magazyn się przenośli w różne miejsca i taką pomoc organizował. Zaczęła się również ta pomoc od konieczności udzielenia pomocy podchorążym z WOSP-u, którzy po pacyfikacji strajku nie mieli się gdzie podziać i nie mieli podstawowych rzeczy, żywności, odzieży. Różne potrzeby się pojawiały i wtedy w tym uczestniczył ksiądz Jerzy, który na ich prośbę odprawiał w trakcie strajku Mszę świętą w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa. Na tę mszę był przez okno wciągany za ręce, ponieważ inaczej by się tam nie dostał, bo była obstawa milicyjna, która blokowała dojsię w normalny sposób. Także to warto pamiętać, że z wieloma tymi podchorążymi miał później kontakty i pomagał im w różnych sprawach, życiowych także. To też

było jakoś ważne. Kiedy rozpoczął się stan wojenny to oczywiście ta pomoc ze strony księdza Jerzego i tego magazynu prowadzonego przez panią Hannę Grabińskiego była nie do przecenienia, bo po prostu pomoc trafiała do tych ludzi, którzy bądź byli dotknięci represjami, bądź byli w trudnej sytuacji życiowej, np. mieli kilkoro dzieci, które trzeba było jakoś wyżywić, a nie bardzo było i za co i jak. Także ta praca tego magazynu była niesłychanie ważna. A u księdza Jerzego pojawiła się wtedy mapa Polski z zaznaczonymi miejscami internowania i aresztowań, na której były pozaznaczane te miejsca. I w sprawie pomocy wiele osób zgłaszało się do księdza Jerzego i wiele osób z tej pomocy korzystało. Stały był jego kontakt z Hutnikami oczywiście, no i z też innymi grupami zawodowymi, przede wszystkim lekarzami i pielęgniarkami. Także to tak trwało. W piątek i w sobotę mieliśmy w Zarządzie Regionu ciągle informacje o przemieszczaniu się dużych oddziałów wojska i milicji w kierunku na Wrocław, Gdańsk, na Warszawę, na Kraków. I wiadomo było już, że po prostu sytuacja jest groźna, zakończy się jakoś dramatycznie. W sobotę wyszłam z Zarządu Regionu dość wcześniej niż planowałam przedtem, właśnie ze względu na to pojechałam do mojego brata, żeby z nim porozmawiać o sytuacji. Słyszac ode mnie, że tu władzę przeciw własnemu narodowi chcą wojnę wypowiedzieć, uznał, że jestem po prostu... że mam jakieś dziwne pomysły i że to niemożliwe. W każdym razie rozmowa trwała gdzieś do drugiej w nocy i wróciłam do domu, właśnie tak bardzo późno. Jak się okazało, w tym czasie zabierali ludzi na Jelonkach, wtedy na Jelonkach mieszkiałam, gdzieś od wpół do 11 wieczorem już, kiedy jeszcze nie był formalnie ogłoszony stan wojenny, ale już miały miejsce zatrzymania. I ja wróciłam do domu, położyłam się spać, ale nie wyłączyłam radia i obudziło mnie przemówienie Jaruzelskiego. Zanim on skończył, to spakowałam się, zabrałam rzeczy i maszynę do pisania i po prostu wyszłam z domu. Na framudze były ślady łomów, odłupana farba. Uszkodzenia były i widocznie byli wcześniej. No ale to trudno było przewidzieć. W każdym razie ukrywałam się przez ponad miesiąc u znajomych na Służewcu nad Dolinka, na Sonaty 6, u państwa Dmowskich. A 18 stycznia zostałam zatrzymana w zakładzie pracy. Miałam do tego czasu urlop, więc nie obawiałam się, że jakieś formalne komplikacje z tego wynikną. Ale ponieważ przysługiwało mi tego urlopu więcej, postanowiłam go przedłużyć. Miałam nadzieję, że może do zakładu teraz akurat nie przyjdą. Dokładnie przyszli właśnie. Po prostu zostali zawiadomieni przez sekretariat dyrektora że jestem. I przyszło do mnie... Przyszedł UB-ek i czterech panów mundurowych pod bronią. Właśnie pod lufami mnie raczyli wyprowadzić z zakładu pracy, z CEZAS-u na Buczka. Także tak to wyglądało, tzn. przyszedł ten UB-ek, który sugerował, że może tak nie robiąc hałasu, że mogę z nim wyjść... No ale ja uznałam, że jestem w pracy i dyrekcja musi wiedzieć, co się dzieje. No i poszliśmy do dyrektora po prostu, który uznał, że nie ma problemu, nic się nie stanie, jak pójde do Pałacu Mostowskich. Zatrzymać kogoś można na 48 godzin. A ja byłam zatrzymana na dłużej, na dwa dni dłużej. To znaczy decyzja o internowaniu była z datą 20-tego stycznia, ale ja ją dostałam dwa dni później, kiedy mnie wywozili na Olszynkę Grochowską. Także nie było to zgodne z rzeczywistością, zgodne z prawdą. Na Olszynie byłam do 10 lutego, kiedy wywieźli nas o świcie, koło 4 rano wywieźli nas do Gołdapi. To był drugi transport, bo 15 stycznia wywieźli pierwszy transport z Warszawy, a w tym drugim było nas 5. Była z Lublina Ola Leks. Były z Warszawy, poza mną były Aldona Jawłowska, Janka Jankowska, Agnieszka Lipska. Ponieważ się wcześniej domagałyśmy prawa do kąpieli to Janka Jankowska... Woda ciepła się bardzo szybko skończyła. Zaczęła się zimna i Janka Jankowska przeziębiła się bardzo, bo po prostu włosy jej zmoczyło to i miała długie włosy, więc po prostu to spowodowało, że chyba zapalenia płuc dostała czy coś takiego. W każdym razie była na antybiotykach. Też lekarze nie chcieli do niej dopuścić. Domagałyśmy się tego tłukąc kubkami w drzwi. Ona miała koło 40 stopni gorączki wtedy. W taki właśnie... W takiej sytuacji wyjechałyśmy do Gołdapi na dłuższy

pobyt. Więźniarki na Olszynie Grochowskiej chciały nam coś, starały się nam przygotować coś, jakiś posiłek na drogę. Ugotowały jajka, ale po prostu one były częściowo surowe. Wiozłam je tak w płaszczu, w palcie i to wszystko się rozlało, bo niestety zabrakło czasu, tych paru minut, żeby zagotować tę wodę. No ale trudno. W każdym razie bez takiej możliwości jakiegokolwiek posiłku wyjechałyśmy. Jak dotarłyśmy do Gołdapi to po prostu wówczas było około 250 osób tam, chyba 252, ale to dokładnie nie wiem, czy razem z nami, czy czy bez. W każdym razie wówczas była możliwość jakiegoś przebrania się w coś czystego, bo dostałyśmy od koleżanek trochę odzieży z tych darów, które tam przyszły. Ja dostałam taki sweterek. Po prostu można było zmienić odzież po tym okresie przebywania w pomieszczeniach dość brudnych i braku możliwości normalnego mycia. Pobyt w Gołdapi to było ponad pół roku, więc wiadomo było, że rodzina musiała przywozić jakieś rzeczy, jakąś odzież, żeby można się było w coś przebrać, bo zmieniają się pory roku, to zmienia się również rodzaj odzieży, jakiej się używa. Mogli robić te zdjęcia, mogli dostawać aparaty, nie wiem na jakiej zasadzie, czy były przemycone, czy były przekazane. A w Gołdapi nie. Takie odnoszę wrażenie, że tych obostrzeń u nas było zdecydowanie więcej. Ale udało nam się schować radio i uzyskiwać informacje o tym, co się na świecie dzieje. Rzeczywistym sposobem protestu w sytuacjach drastycznych były głodówki. Kiedy zmarł syn Halinki Gaińskiej ze Szczecina, odmówiono jej prawa do wyjazdu na pogrzeb. I wtedy właśnie zagroziłyśmy głodówką. I okazało się, że dało się tą metodą zmusić władze do tego, żeby wyraziły zgodę na jej wyjazd na przepustkę na pogrzeb syna. Wtedy zabraliśmy się i zabraliśmy pieniądze po prostu, żeby mogła pojechać taksówką z Gołdapi do Szczecina i potem z powrotem. Takich sytuacji było więcej. Np. Były próby niedopuszczenia do widzeń. Wiadomo, że jak przyjeżdża rodzina z Andrychowa z dzieckiem to powiedzieć im, że internowana nie chce ich widzieć, to jest to szczególne bestialstwo, bo po prostu wiadomo było, jak trudno jest uzyskać przepustkę na przejazd przez Polskę wtedy, jak trudno jest przedostać się nieregularnie chodzącymi pociągami i z drugiego krańca Polski do Gołdapi. Jak trudno jest przejechać tę drogę z małymi dziećmi, kiedy się nie ma odpowiednich możliwości wyżywienia ich, bo po prostu warunki były trudne. I słyszy się na wejściu, że widzenia nie będzie, bo bo mama nie chce ich widzieć. Takie sytuacje były. Był syn koleżanki z Gorzowa, który przyjechał i właśnie go tak poinformowano, że matka nie chce go widzieć. Nie będzie widzenia. I praktycznie dzięki temu, że dowiadywałyśmy się o przyjeździe takich osób bądź od innych rodzin, które się z nimi spotkały, bądź od żołnierzy na warcie, bo ośrodek był otoczony wojskiem, to wówczas można było zagrozić głodówką, lub... Bo trudno o inne formy protestu, jak się jest zamkniętym w więzieniu. Więc po prostu dlatego, dlatego właśnie takiej formy się używa. Zagrożenia dla własnego zdrowia, dla własnego życia. I okazało się, że jest to skuteczne. Syna Tereski Klimek z Gorzowa odszukano na dworcu, przez megafony i przywieziono do Gołdapi na widzenie, na które przyjechał wcześniej. Więc po prostu niestety w takich warunkach jest to jedyna szansa, żeby zapobiec nieludzkiemu traktowaniu, czy rodzin osób osadzonych, czy też koleżanek, będących w takich warunkach i takimi metodami się broniłyśmy po prostu przed represjami. To pisemko to przyznaję, że nie bardzo pamiętam, jakiej sytuacji dotyczyło. W każdym razie takich sytuacji było więcej. Ponieważ jest z maja, to przypuszczam, że mogło mieć związek jakiś z uroczystościami 3 Maja. Wtedy wywiesiłyśmy flagi biało-czerwone z kirem. Na dachu budynku i z okien takiej sali, w której można się było spotkać w większej liczbie osób. I władze ośrodka zażądały, żeby flagę zdjąć, na co oczywiście nie było naszej zgody. I sprowadzono przeciw nam dwa oddziały milicji. Cały czas, od rana kilkadziesiąt dziewczyn pilnowało ściany z tą flagą, żeby nikogo nie dopuścić, żeby tej flagi nie zdjęto. Zagrożenie tą flagą dla władz było żadne, bo przecież było to na tyle odległe miejsce od miasta, że by nikt tego nie zobaczył poza tymi, którzy tam pracowali, bądź byli po prostu w środku

uwięzieni. Mimo to te dwa oddziały milicji zostały sprowadzone i próbowały do tej flagi dotrzeć, napierając na te kilkadziesiąt dziewczyn. Ściana była oszklona. I część drewniana, nisko, była dość nieduża, właściwie głównie to szkło. I w pewnym momencie zauważono, że ściana się wygina i że istnieje realne zagrożenie, że może po prostu dojść do sytuacji takiej, że z tymi szybami my lecimy na zewnątrz. I to spowodowało, że wycofano tych przybyłych milicjantów. Także flaga do końca dnia była zawieszona na zewnątrz. W każdym razie mogły być jakieś represje związane z tą sytuacją, ale tego nie pamiętam dokładnie już. Także trudno by mi było powiedzieć, czy to była ta sprawa, czy jakaś inna. Może któraś inna z koleżanek będzie to lepiej pamiętać. W każdym razie wyszłam z Gołdapi 23 lipca, a 24 został ośrodek zamknięty. Miało to wyglądać inaczej. Miało być rozłożone do 27, po parę osób. 23 za mną w kolejce do wyjścia była Ania Walentynowicz i Alina Pieńkowska. Żeby wyjaśnić jak sytuacja wyglądała to przypomnę może jeszcze wydarzenie wcześniejsze, a mianowicie to był taki okres, kiedy wiosną nastąpiły powodzie i wówczas postanowiłyśmy zebrać te pieniądze, które mamy, żeby przekazać, powodzianom na pomoc dla nich. I nam skutecznie władze stanu wojennego to uniemożliwiły. I tu była druga sytuacja, podobna przed tym wyjściem, ponieważ dostawałyśmy pomoc przekazywaną poprzez Episkopat, dary odzieżowe, jak już mówiłam, ale też leki. Leki, które były potrzebne w trakcie pobytu tam, ale których spora część została. Wiadomo było, jak trudno jest w kraju o leki w tym czasie. Wiadomo było, jak pomocni dla nas byli, w dbałości o nasze zdrowie, lekarze. Czy to ze szpitala w Gołdapi, czy w Giżycku. Więc uznaliśmy, że trzeba te leki przekazać do tych szpitali. Spakowałyśmy to w pudła, ale również władze ośrodka i władze stanu wojennego na coś takiego się nie zgodziły. Chodziło o to, żeby pokazać, żeby uniemożliwić jakiegokolwiek danie sygnału, że jesteśmy solidarne z tymi, którym się coś dzieje złego, którym potrzebna jest pomoc. Więc uniemożliwiono to. Wobec tego uznaliśmy, że spakujemy to w taki sposób, żeby przy podziale na trzy osoby, żeby te leki wynieść i żeby przekazać tam, gdzie będzie potrzeba. Ja byłam pierwszą osobą w kolejce, która miała pudełko z tymi lekami. I wtedy zaczęła się rewizja szczegółowa. Rewizja polegająca na tym, że np. odkręcano fiolkę z jakimiś tabletkami, rozsypanych na podłodze i deptano, darto bandażę. Po prostu niszczone te leki, żeby nie mogły nikomu innemu już pomóc. I tu osobą, która ostro na to zareagowała była Alinka Pieńkowska, która jako pielęgniarka szczególnie była wrażliwa na takie sprawy i stwierdziła, że „nie, my je dostałyśmy. Jest decyzja o uwolnieniu nas, nie ma żadnego powodu, żebyśmy się poddawały takiej rewizji”. I ta moja rewizja była zakończona, mnie przepuszczono. A reszta dziewczyn kategorycznie odmówiła poddania się rewizji. I wobec tego zablokowano wypuszczanie wszystkich tego dnia. Jeździły tam samochody z ośrodka w Gołdapi do komendy, porozumiewali się z Warszawą. My uznaliśmy, że co wyszły, że po prostu nie możemy zostawić tego tak jak jest, że musimy dowiedzieć się, co się tam dzieje z nimi i nocowałyśmy na plebanii u księdza Smędzika. A potem poszłyśmy pod szlaban z powrotem. Okazało się, że nadal nie ma żadnej decyzji, że nasze koleżanki przenocowały jakoś, niektóre w pokojach u siebie, a niektóre w tej sali przed recepcją. Dalej trwały targi z Warszawą o to, co zrobić w tej sytuacji. Wiadomo już było, że planowane było to wychodzenie w niedużych grupach. Ostatnia miała być 27 lipca, Basia Leszczyńska. W końcu jednak doszło do decyzji, że wychodzą wszystkie. Już bez tej szczegółowej rewizji. Kiedy wyszły, rozwinęły transparent chyba z napisem „Solidarność” albo coś jeszcze, ale nie pamiętam tego dokładnie. To jest nagrane zresztą, bo była tam ekipa telewizji amerykańskiej, która to filmowała, także wiadomo jak to wygląda. Do ostatniego dnia, wbrew informacjom udzielonym publicznie były przetrzymywane. Matki małych dzieci. Także samotne matki. Czas pobytu organizowałyśmy sobie tak, żeby go nie zmarnować właśnie. Każdy miał jakieś tam umiejętności, którymi mógł się podzielić. Była nauka języków. Była prowadzona biblioteka.

To Krystyna Kuta i Ela Kwiatkowska prowadziły bibliotekę oficjalną i nieoficjalną, czyli „drugiego obiegu”. Były organizowane spektakle, np. Halina Mikołajska przygotowała spektakl. Były przygotowywane np. były wiersze Mandelsztama recytowane. Każdego 13-ego spotykaliśmy się na balkonach, śpiewaliśmy „Fordoniankę”, czyli taką pieśń taką, która była związana bezpośrednio z naszą sytuacją. Pieśń Konfederatów Barskich. Pouczające było przygotowywanie się, jeśli chodzi o przekazywanie informacji na zewnątrz, czyli np. Wtapienie, wklejanie gypsu w kartkę pocztową, czy w pudełko ze środkami piorącymi. Różne takie metody były też przygotowywane. Ela Seferowicz... w każdym razie one przeprowadzały badanie osób w gorszym stanie zdrowia, szczególnie przy chorobach przewlekłych, badały ciśnienie, przygotowywały raporty dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o stanie naszego zdrowia. Te raporty były też wynoszone. Były umowne znaki czy się udało przez rewizję przenieść taki, a taki raport. Także było wiele różnych zajęć, które nam pozwalały jakoś przeżyć ten okres tak, żeby go nie zmarnować. Ewa Deptuła prowadziła wykłady na temat historii Polski, powiązania tej historii z kultem Matki Bożej. To były bardzo ciekawe wykłady. Myślę, że dla wielu z nas ten okres taki też wymienianie się informacjami o tym, jak jak w danym regionie tworzony był związek, w jaki sposób rozmaite problemy się rozwiązywało. To też było bardzo pouczające. Wytworzyło to taką bazę dla późniejszych kontaktów. Kiedy po wyjściu była sytuacja tego rodzaju, że niektóre grupy pracujące w podziemiu uważały, że lepiej nie mieć kontaktu z kimś, kto kiedyś tam wpadł, bo po prostu może to być groźne dla dalszej działalności. Ale dawało się przeprowadzać cały szereg innych rzeczy, jak sprawa kolportażu, sprawa przekazywania informacji, obecność na procesach i spisywanie informacji. To wszystko można było robić w dużej mierze dzięki temu, że praktycznie w każdym zakątku kraju miało się znajome osoby, na których można było polegać, ze znajomości z którymi nie było problemu z tłumaczeniem się z takiej znajomości nikomu, bo po prostu była naturalna. Także po prostu wiadomo było, że można wiele rzeczy zrobić wspólnie, bazując na tym zaufaniu wytworzonym dzięki faktowi, że się było razem w trudnej sytuacji i że człowiek się wtedy sprawdził. Jeśli chodzi o problem odcięcia od rodzin, to rzeczywiście wiele osób zносиło to bardzo źle, ale starało się jakoś sobie z tym radzić. Natomiast dla niektórych odgłosy dzieci UB-eczek, które się tam bawiły, były takim przypomnieniem zawsze tych własnych, których się nie może zobaczyć. I to był też taki element represji. Te dzieci nic nie były winne, tych UB-eczek, ale po prostu był to rodzaj takiego stałego przypominania, że własnych dzieci zobaczyć nie można. Nie było żadnej pewności, kiedy się i czy w ogóle się wyjdzie stamtąd. Przecież to było celowo umieszczone na pograniczu ze Związkiem Radzieckim wówczas, czyli ośrodek nad jeziorem, po drugiej stronie państwo, które się nam kojarzy raczej właśnie z wywózkami na Sybir niż z czymkolwiek innym. Szczegółowe rewizje dotyczyły przede wszystkim dzieci. Przede wszystkim dzieci, dziewczynki. To jest coś niedopuszczalnego, coś, co się działo. Jeżeli się robi rewizję osobistą dziewczynce 8, 9-letniej i wykonują tę rewizję mężczyźni w zamkniętym pomieszczeniu. I matka słyszy krzyk tego dziecka. No to jest to szczególny rodzaj represji. Natomiast były też takie działania, które miały dodać odwagi naszym rodzinom. Kiedy się demonstrowało wobec stojącej kolejki rodzin czekających na widzenie, że można UB-eka traktować w sposób taki, że po prostu widać, że my się ich nie boimy, że mamy swoje metody i potrafimy się przeciwstawić ich działaniom. Także to tak, jak z tą zupą, którą na widzenie koleżanka Basia Oroń zaniósła swoim córkom. I UB-ek, który nie chciał jej przepuścić do sali widzeń usłyszał od niej „Milczę, jak do mnie mówisz”. Także jeśli rodziny ciężko przestraszone czasami, które w tej rzeczywistości stanu wojennego mają świadomość, że w każdej chwili mogą dotknąć ich represje, słyszą takie drobne, niby wyrażenia, to po prostu jakoś zaczynają się też czuć pewniej. Wróciłam do Warszawy w końcu lipca i w jednym z ostatnich dni lipca był proces pani Hanny Grabińskiej, tej,

która prowadziła magazyn. Proces... tam chodziło nie wiem, czy tylko o kolportaż, czy o inne rzeczy, bo aktu oskarżenia nie widziałam, ale udało mi się dostać na salę rozpraw. To był sąd wojskowy przy Nowowiejskiej i na pewno było trudno o przepustki. A na salę wszedł ksiądz Jerzy Popiełuszko. Ksiądz Jerzy starał się być zawsze z ludźmi, z którymi współpracował, wspierać ich w sytuacjach trudnych. Wiem, że dla pani Hani była to sprawa niesłychanej wagi, to, że ksiądz Jerzy przyszedł. Bo po prostu ona została niedługo potem wypuszczona, ale świadomość, że można liczyć, że ktoś może tak bardzo wspierać, że w sytuacji zagrożenia dla siebie, bo przecież nikt z tych, którzy się zgłaszali, żeby wejść na salę, nie był pewien, czy go nie zamkną tam przy tej okazji. To po prostu było ważne jakoś. To nie był przecież jedyny proces, na który poszedł ksiądz Jerzy. I zawsze w takich sytuacjach trudnych wspierał ludzi. Także to było to. W sierpniu, 25 sierpnia w Częstochowie zorganizowaliśmy głodówkę o zakończenie stanu wojennego i wypuszczenie naszych kolegów z więzienia w kościele świętej Barbary.